

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— Poznań, 20 października 1889 r. —

Nr. 30.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski” w redakcyi, płacą tylko 1,50 młk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.” kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

O WYCHOWANIU.

(Ciąg dalszy.)

Niech matki i wychowawczynie bardzo zważają na to, aby dziecko względem sług nie przybierało rozkazującego tonu, aby na nich nie wymyślało, nie dokuczało im, ale przeciwnie zawsze grzecznie i łagodnie do nich przemawiało. Niech matka zawczasu pouczy dziecko okazywać służbę życzliwość i względność, prosić i dziękować za usługę. Dla sługi poczciwej, wiernej, spełniającej sumiennie swe obowiązki winniśmy mieć szacunek, współczucie i wdzięczność. Jakże więc dziecko miałooby nad nią przewodzić? . . . Rodzice, dozwalający, aby dzieci gardziły sługami, dokuczały im, wychowują z nich znienawidzonego pana, lub panią, a co gorsza, sami na nie i na siebie ściągają niebłogosławieństwo i karę niebios! — Ileż bywało wypadków, że osoby, w dzieciństwie, lub w młodości pogardę sługom okazujące, nielitościwie się z nimi obchodzące, same później — po stracie majątku — w służbę pójść, a co gorsza, znosić kaprysy, upokorzenia i poniżenia były zmuszone! —

Nie pochwalamy przecież — przeciwnie — za szkodliwą uważamy zbyt częstą poufałość dzieci ze służącymi i ciągle pierwszych z drugimi towarzystwo; bo wtedy dziecko łatwo posłyszyci jakie niestosowne wyrazy, nawyknie do nich i samo zacznie ich używać, posłyszyci nieodpowiednie dla swoich uszu opowiadania, dowie się o tem, czego wiedzieć nie powinno — jednym słowem: zgorszy się. A przed zgorszeniem winni rodzice chronić dzieci bardziej, niż przed zarazą. Zараźliwą chorobę ciała usunie umiętny lekarz, ale danego zgorszenia, owej zarazy duszy, i jej zgubnych strasznych skutków nikt nie usunie. —

Dzieci w ogóle lubią towarzystwo służących, bo czują się w niem niezawisłe, swobodne; chętnie słuchają ich piosenek, żarcików, anegdot, nieraz dwuznacznych, rubasznych, nieprzyzwoitych, których często na razie nie rozumieją nawet; później dopiero, zastanowiwszy się nad niemi, przyswajają je sobie skrycie, każąc tym sposobem swą czystą może dotąd duszyczkę i niewinne serce.

Służąca często przywiązuje się do panienki, jeżeli ta jest dobra, łagodna i względna i takie przywiązanie jest pożądanem, byle nie przekraczało granicy i nie nabrało zbytnej poufałości — bo wtedy bywa nieraz służąca więcej wpływową, aniżeli sama matka.

Zdarza się niekiedy, że służąca przez rzeczywiste, bez granic przywiązanie i poświęcenie staje się najszczerszą i najprawdziwszą przyjaciółką swej pani. Pewna znajoma nasza ze łzami wspominała o zmarłej na jej rękach starej słudze, która ją wyprowadziła i do końca życia dowody niezmiennego przywiązania jej dawała.

Takie przykłady są jednakże nader rzadkie; dzisiaj — si Kamoensowie nie mają swoich Lopezów!

Jednym z głównych warunków wychowania panienki jest, aby ciągle zatrudnioną była. Ładne rączki wydadzą się jeszcze ładniejszymi, gdy je ujrzymy zajęte robotką, lub jakąbądź użyteczną pracą. Nie brak towarzystwa, lub zabaw, lecz brak zatrudnienia rodzinudy. Człowiek nigdy nie powinien nudzić się; może go wreszcie nudzić nieodpowiednie, niedobre, złych, lub ograniczonych, bezmyślnych osób towarzystwo, ale nigdy sam siebie. Kto mówi: *nudzę się* — samemu sobie ubliża.

Brak zatrudnienia przy miękkim, wygodnym, leniwem życiu rodzi nadto różne wady i narowy, bo zajęcie jakieś staje się dla każdego potrzebą. Brak, a często nieumiejętność zajęcia się wyradza najczęściej plotki, obmowy, podłe intrygi i kłamliwe oszczerstwa; uważajmy, że oddaje im się najwięcej osób, niczem użytecznym się niezajmujących, lub też przeważnie czas na rozrywkach, zabawach i rozkoszach spędzających. — Brak zatrudnienia mianowicie u kobiet sprowadza żądzę zabaw i gonienie za niemi, próżność i kokieterię; a gdy lata zwieją róże z lica i włosy posrebrzą, gdy świat wyśmiej, wyszydzi i odrzuci swe niepożądane nadal adeptki — brak, nieporadność i nieumiejętność zatrudnienia rąk i głowy wyradza... *devocyy* — nie owę prawdziwą pobożność, której znamięm miłość Boga i bliźniego — lecz *bigoteryę*, zasadzającą się wyłącznie na leniwem wysiadaniu po kościołach z zaniedbaniem choćby najważniejszych obowiązków, na ostentacyjnej modlitwie z przewraniem oczu i ciężkimi westchnieniami nie nad swemi własnymi, ale nad winami i zbrodniami bliźnich, wreszcie na powtarzaniu za biblijnym faryzeuszem: „Panie Boże, dziękuję Ci, że ja nie taka, jak owa... jak tamta!”...

Toż przecież potrzeba koniecznie czas c z e m s ь wypełnić, a gdy nie można już służyć Baalowi, zaczyna się — na swój sposób — służyć Bogu!

Balzac, ów niezrównany znawca serc kobiecych, wyrzekł: „*Ennuï vient d'inane ce qui veut dire: vide, et c'est par ce vide principalement, que le démon s'introduit dans le coeur des femmes.*” Otoż więc należy zapelnąć tę próżnię użytecznym zajęciem, pracą, ażeby złe nie wzięło góry. Zatrudnienie, praca wzbronią przystępu nagannym myślom: praca to jakby modlitwa.

Schiller wymienił jako najwyższe na ziemi dobra: przyjaźń i pracę — a zaznał on walkę życia i cierpienie i wiedział, w czym szukać na nie ulgi, gdzie znaleźć pociechę!

Zatrudnienie i praca są najpewniejszym, najskuteczniejszym lekarstwem na udręczenia moralne, na zabijające uczucie tęsknoty, są ulgą na srogi ból serca, przynoszą niekiedy chwilowe zapomnienie doznanych zawodów, zgasłych nadziei, pożegnanym marzeń, niesprawiedliwości i strasznych krzywd, od złych ludzi doznanych. Niejedni stwierdzili to doświadczeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA JESIEŃ

Jesień! jesień!.... dla czegoż w dzikim wichru szumie
Słyszę głosy przeszłości zagasłe na wieki?
I czemuż w tym wesołym i szczęśliwym tłumie
Patrzę wzrokiem stęsknionym w świat inny, daleki?....

Jesień!.... znane widziadła powstają z mogiły,
Jak to słońce jesienne, co tak blade świeci,
I smutną duszę moję wspomnienia pokryły
I myśl ma w kraj pamiętek razem z wichrem leci.

O! gdyby można jeszcze choć chwilę przed zgonem
Ujrzeć ojczyste lasy, nad rzeką szumiące,
Usłyszeć śpiew skowronka nad ojców zagonem,
I kwiaty zrywać polne, jak niegdyś..... na łące.....

Jesień! jesień!.... dla czegoż tutaj niebo mgliste
Przypomniało mi lata minionej młodości,
I niebo ukochane, bo moje ojczyste,
I dni uroczę złotej, promiennej przeszłości?!

Jesień! jesień!.... powiedły liść opada z drzewa
I depce go przechodnia obojętna noga;
Cisza wkoło i ptaszek więcej nie zaśpiewa,
Ach! coż za jęk się przedarł z rodzinnego proga?...

Tak ciężki, że go tutaj moje słyży ucho!
To o litość błagają niebios polskie dziatki —
I tak pusto dokoła — ciemno strasznie — głucho —
I gwiazdy tylko jedne mej boleści świadki.

Marya Sokolnicka.

ROŻENKA.

Obrazek z przeszłości

przez W.

DR. ANTONIEMU J.

w dowód czci i poważania drobnostkę tę poświęca autor.

Było to w roku 1672.

Wojsko tureckie pod dowództwem Kapłana baszy, odstąpiwszy od oblężenia Lwowa po otrzymaniu pięciu tysięcy talarów bitych w gotówce i 75,000 w obietnicy, długim pasem ciągnęło wzdłuż Podola.

Jesień zapowiadała się łagodnie. Choć już październik — słońce złociste promienie rozrzucalo bogato po niwach, stratowanych mnogimi kopytami koni najezdców — grzejąc wprawdzie, lecz zarazem jawniej i jaskrawiej okazując nędzę nieszczęsnej krainy.

Nigdzie nie było widać ani źdźbła zieleni — pustka i zgłiszcza wokoło. Nad strumieniami, kędy w innym czasie jesienią purpurą się lśniły liście olch, wierzb, lub łoży strzępiastej, teraz połyskiwały żółte tarcze jaskierni, wysokie kiście dziewanny i t. p. resztki letniej okazałości, oraz czysto sezonowe, liliowe kwiatki zimowitu — czerniły się gęste masy błota, utworzonego przez konie i ludzi, korzystających z dobroczynności wody, aby się orzeźwić, napić i wykapać.

Na rzyskach i ugorach tu i owdzie gromadziły się stada wron i ptaków przelotnych, sejmikujących nad obraniem zimowej leży.

Przyglądali się im z zazdrością sławetni obywatele lwowscy — jako zakładnicy w taborze Kapłana baszy — do Kamieńca podolskiego pomimowolną odbywający wędrówkę.

Był tam doktor Andrzej Szymonowicz, zięć burmistrza Anczowskiego, który umknął ze Lwowa; młody Studnicki, syn ławnika, również zbiegłego; Edward Nenke i Andrzej Dobrycz, dalej Jakób Jaśkiewicz i Bernatowicz Gabryel, ormianie — oraz z grona Rusinów wybrani Stefan Laurysiewicz i Piotr Affendyk, z Serbii pochodzący — wreszcie dwaj izraelici.

Affendyk, ciemny brunet, gorycz położenia skrywał dobrą fantazją.

— Nie wytrzymam już, panie bracie — mówił wpółzartobliwie do Jaśkiewicza — jakem syn mojej matki Bihme! — zjem którego z tych kpów bisurmańskich.

— Nie strawisz — odparł tamten sentencyonalnie.

— Głupstwo! — ale poturczę się, w tem bieda!

— Niedługo rozbijemy namioty — pocieszał Laurysiewicz.

— Na kogo to dziś kolej? Kto dzierży warzechę?

— Dobrycz sławetny.

— *Duj tubko w ruki* — niewiele wskóramy.

Z odrobiny ryżu i mięsiwa stęchłego nawet J. M. pan kuchmistrz krakowskiego wojewody, Stanisław Czerniecki, melszpajzu nie ulepi — wtrącił Dr. Szymonowicz.

Zeby choć nam dali koźlą łopatkę — westchnął Affendyk, ukośnem wejrzeniem ormian obejmując.

— Rzeknij waś: chleba kawałek! — poprawił Laurysiewicz — boć odkąd pod Miklaszowem komisarze koronni nas opuścili — żywić się musim niedogotowaną strawą, jak psy niechrzone.

— A piwo po 12 groszy! zawołał Dobrycz — by dzięgiel — pfu!

— Skąd je brać? — ozwał się dotąd milczący Nenke. — Spójrzyno waś przed siebie! — śliczna nasza ziemia, mlekiem i miodem płynąca, wygląda, jak po potopie. Tatarowie podziobali ją, by kruki. Tam ot! dwór szlachecki w perzynę obrócony — z chat ani śladu, a lud... Boże mój miłosierny! jęczy w łykach.

Affendyk humor stracił.

W milczeniu postępowali dalej wśród pisku, zgiełku, hałasu, owinięci tumanem prochu od góry, a błotem z dołu obrzuceni. Nareszcie zatrzymali się na nocleg.

Spahowie, jańczarowie i drobiazg służalcy — rozbiłali namioty. Lwowsy „obsides“ — jak ich zwą historycy — nie mieli namiotów do rozporządzenia — rozłożyli się więc na boku — a pożegnawszy nadzieję ciepłego posiłku — bo drzewa nie było — przegryzali zgnile kawony z ziarnkami na pół ugotowanego ryżu.

Szymonowicz, wsparty na jakiejś porzuconej kulbace, patrzył w niebo, gorejące odbłaskami zachodu, i myślał o młodziutkiej, ślicznej żoneczce swojej — tak bardzo kochanej i kochającej! Wyobrażał sobie, jak ona, gołąbka jego, łzami się zalewa — jak wznosi ręce rozpacznie, prosząc Boga o ulżenie losu „Andrzejkowi“.

Energiczny zawsze i ufający — dziś dziwnie się roztkliwił. Czyżby to w skutek gorąca, palącego mu głowę dzień cały? — czy z powodu rozdrażnienia nerwów wrzaskami tureckimi? czyli też wodnych oparów? — Marzył o najdroższej swojej — nagle zdało mu się najwyraźniej, jakoby cudna rusałka — wówczas „boginką“ zwana — stanęła mu u wezłowia, chłodną dłonią rozgarnęła włosy na czole i począła szeptać tajemnicze wyrazy. Szkoda, że ich nie zapamiętał! Smutny, rozmarzony i znużony, zasnął w końcu.

W obozie względnie się uciszyło — względnie tylko — gdyż od czasu do czasu wybuchała kłótnia o łup, lub o kawał mięsa wędzonego, nierazko sądem doraźnym zakończona. Konie, nie mając paszy, gryzły wędzidła; psy, jak hyeny, wojsko eskortujące, wyły przeraźliwie, a w dali płonęły ognie wsi palonych przez czambuły tatarskie.

Na to wszystko spoglądał księżyc z błękitu, patrzyły gwiazdy iskrzące, a drobnuchne, niby maczek złocisty.

Nie dziwiły się wszelako, choć niedawno inaczej tu było!... ale czyż to one nie widziały większej nędzy? — czyż nie przyświecały rzezi kozackiej? — barbarzyństwom Tatarów — a w mrocznej przeszłości męczeństwu jednostek i całych narodów? a przecie żadna z nich nie zesłała z swej drogi.

Wenus, „gwiazda zaranna“, ukazała się nawschodzie. — Świtać zaczęło.

Od strony Narajowa słyhać było tętęt przygłuszony. — Ałlah! Ałlah! — pojedyncze wykrzykniki biegły po rosie. Zawrzało jak w kotle. Z hukiem, krzykiem, hałasem czambulik tatarski wpadł, niby huragan dziki pomiędzy śpiących, wiodąc dzieci pokrępowane i niewiasty, przytroczone do siodła.

Młody Studnicki przetarł oczy.

— Sen to, czy jawa? — zawołał, żegnając się krzyżem świętym; przed nim bowiem stała nędzna szkapa tatarska, mając uwiązane przy kulbace dwie kobiety. Jedna z nich z głową zwieszoną do ziemi czarnym włosem proch zamiałała; druga — dziecko prawie — z skrzepowanemi rękami, o wytok zaczepiona — wyglądała, jak posłannik Boży. Studnicki aniola takiego nie widział wprawdzie, nawet w kaplicy cmentarnej przy Przenajświętszej Paniencie, gdzie Bartłomiej Zimorowicz modlił się godzinami całemi, mając poruczoną obronę miasta, ale tak go za serce chwyciła wyrazem ślicznej twarzyczki, tak ujęła słodyczą ócz modrawych, w niebo wpatrzonych, iż ją do wysłanki tegoż porównał bez namysłu.

Oglądając się naokół, a widząc, że nikt na niego nie zważa, ostrożnie przybliżył się do kobiet.

— Nie lękaj się waćpanna — Bóg z tobą — rzekł cichutko, więzy jej przecinając.

— W Nim cała nadzieja moja — szepnęła, zalewając się łzami.

— Skąd was ujęto?

— Z Dobrej-woli.

— I kiedyż?

— Wczoraj na świtaniu. Krzyk braciszków maleńkich ze snu mnie obudził. Niebawem drobne ich ciała ujrzałam rozciągnięte na ziemi obok trupa rodzica. W okna biła luna ze stodoła.

— Nie mam nic dla pokrzepienia waćpanny — jenieczerem, sam w niewoli.

Podziękowała mu spojrzeniem, jakby jej dał najśłodszego kordyału — poczem rzekła z wielką rzewnością.

— Poratuj waćpan matuleńkę — srogie znosi katusze.

— Ach! to matka — jęknął i podpełznął przy ziemi, całym ciężarem ciała podnosząc zemdloną. Córka zarzuciła jej ręce na szyję.

W tej chwili rój Tatarów, rozpierzchłych po obozie, zaczął się ku nim tłoczyć, rozkładając w pobliżu bazar zaimprovizowany. Po złożeniu należnego haraczu baszy Kapłanowi — prowadzili oni handel na własną rękę — to znaczy sprzedawali łupy przedsiębiorczym indywiduom — którzy bogacili się niemi niepomieranie.

I teraz jeden z nich — lis szczwany — Kryczyński, tatar litewski z sinawą przęgą na czole, wybielonem nieco w ojczyźnie Gedymina — stał na podwyższeniu wpośród wrzeszczącej zgrai. Srebra, drogie klejnoty, odzież, futra itp. nieruchomości kupą rzucał do wora, towar zaś żywy wiązał własnoręcznie, oddając pod straż zaufanym.

Nie targował się wcale. Obejrawszy przedmiot, z ust grubych wyrzucał pewną cyfrę, — a ponieważ łupieżcy wiedzieli, że nad sumę oznaczoną nie dorzuci ani szeląga, a grabież im ciążyła — w lot chwyтали grosiwo, żeby nie zmienić zdania.

Właściciel owej szkapy wynędziała — jak strzała wbił się klinem pomiędzy płaskonosych towarzyszy — i z niedozownem: „Ałlah“! — porwał dopiero co podniesioną kobietę za barki.

Szorstkciem w trząśnieniu ocucona, zdołała ledwie wykrzyknąć: Rożeńko moja! Rożeńko! — i znikła w tłumie z całym otoczeniem.

Ranek był zimny i mroźny. Sron biały ubrał całą płaszczynę, jakoby na szyderstwo nędzy, brylantami najcudniejszemi. I wewnątrz obozu perliły się drobne kropelki, uwieszane przy grudach ziemi, grzywach końskich i kołach wozów taborowych.

Studnicki, nie mogąc uspokoić się po epizodzie z brankami, przyłączył się do Laurysiewiczza, czyniącego zakupy żywności w bazarze — gdzie tuż przy przegniłych kawonach, pomidorach i jabłkach kwaśnych Kryczyński kram swój rozłożył.

Hoże dziewuchy wiejskie, delikatne niewiasty szlacheckie, mieszcanki ze Zwańca modrookie i czarnowłose płakały i zawodziły, łaniąc ręce rozpacznie.

Znajomych swoich nigdzie nie mógł dopatrzeć — usłyszał tylko, gdy już miano wyruszać, z pomiędzy masy zbitych ludzi i koni przejmujący okrzyk wczorajszy. — Nieszczęśliwa kobieta, łatwiej znosząca śmierć synów, niż widok córki pomiędzy „klejnotami haremowemi“, z głębi uciśnionej piersi wołała: — Rożeńko moja! Rożeńko! — a wykrzyknik ten zawisł niejako w powietrzu, uchwycił się uszu Studnickiego, przyrosł mu do mózgu i ani szelst zwijanych namiotów, ani harmider psów, wrzask i nawoływanie w pochód się sposobiących nie zdołały go przygłuszyć.

Jakiejże sobie biedy przysporzył on młody syn patrycyuszowski! Trzebaż mu było przybliżyć się do dziewczęcia?... trzebaż było wsłuchiwać się w głos jego, dźwię-

czący niby fletu wibracya, i patrzeć w oczy, niebo przypominające? Trzebaż było do fizycznego ciężaru — do nędz wszelakich — udręczenie serca dorzucić? —

— Wola Boża! — szepnął, westchnawszy głęboko po powyższej rozwadze i kornym odmówieniu *pater noster* z należytym dodatkiem: *mea culpa*.

Towarzysze wszelako nie dali na to baczenia, własną troską zajęci. Szymonowicz myślał o nowem widzeniu, o „najukochańszej swojej“, na pastwę boleści wydanej! — Żaliż ją prędko zobaczy?... przy sercu utuli i z liczka białego zcałuje łyzy gorące? Przyczem — że człowiek zacny był — i nędzne postacie pacjentów podkościelnych błąkały mu się przed oczami — więc myślał: Ktoż tym biedakom przyniesie bezpłatne lekarstwo, kto nadal opiekować się będzie nimi? — Laurysiewicz i Affendyk rozmawiali, że acz rzeczpospolita przyrzekła zająć się ich zonami, zawsze to obca opieka — nie mąż własny — czy wreszcie słabe niewiasty podołają ciężarowi, czy kwitującego handlu się nie zbowią?

Inni mieli domy, rodziny, projekta na przyszłość, koligacye — trapił się więc i rozmyślał nad trudnem zagadnieniem.

Affendyk nareszcie przerwał milczenie.

— Ciężkie to nasze zakładnictwo — zaczął, zapinając rozluźnionego pasa.

— Dobrowolnieśmy je przyjęli — odparł łagodnie Nenke.

— Marychna moja gotowa mnie nie poznać — ciągnął pierwszy — schudnę, jak szczapa.

— Nie miej waść o to frasunku — wtrącił Bernatowicz.

— Lepiej nam biednym chudziątkom znosić niewczas — rzekł znowu Nenke — niż całe województwo w sromotną poddać niewolę.

— Ruskiej ziemi im się zachciało! zawołał Laurysiewicz — psubraty!

— Plemie niewierne! potwierdził Affendyk — ale my możemy nie ujrzyć jej więcej.

— Coż znowu? rzeczpospolita w mig one 75,000 talarów złoży, jak J. M. pan podskarbi Szumowski i kasztelan wołyński Lubowicki obiecali.

— Czy jeno złoży? —

— Hm — to zostawimy tam kości. — Smotrycz je pięknie oplóć, podolskie słońce ogrzeje — rzekł Nenke, jak gdyby przeczuwając, iż istotnie pierwszy z drużyny na wybrzeżu rzeki do snu wiekuistego się ułoży.

(Dokończenie nastąpi).



Prawdziwa kobiecość.

(Dokończenie)

Jest to rzeczą szczególną, iż wiele kobiet posiada wysoce rozwinięty dar obserwacyi życia i bez trudu jednym rzutem oka ogarnia widnokreśli, dostępne mężczyźnie dopiero po bliższej rozwadze.

Lecz mamy także kobiety, podobnie, jak i mężczyźni (czy Pan zaliczasz się do nich — nie wiem — twierdzą jednak, iż panowie po większej części do takich należy —) którzy w braku jasnego pojęcia o przedmiocie posiadają natomiast pewną wynalazczość, którą na pomoc przyzywając, unikają niejednokrotnie posiadania o brak najelementarniejszych wiadomości.

Prawda jest, iż ta niewiadomość z pewnym odcieniem wiedzy, to filuterne zakłopotanie na ustach kobiety posiada dla was pewien urok pociągający. W towarzystwie

takiej kobiety można się bez zakłopotania wszędzie pokazać, i to bez obawy, aby się kiedykolwiek zbyt mądrą okazała, a tem samem utraciła ten tak uroczo ograniczony umysł, niejednokrotnie prawdziwą nazywany kobiecością, mający jako charakterystyczne znamiona: łagodność, uległość, cierpliwość, pewną słabość, nieporadność i bierność, działające orzeźwiająco na uznojony pracą umysł jej władcy i pana.

Lecz z drugiej strony śmieć zapytać, czy prawdziwa kobieta, kochająca prawdę, dająca się entuzjastycznie nosić pierwszym wrażeniem uczuć, będzie kiedykolwiek zdolną przyzywać na pomoc w danej chwili przepisane jej z góry cnoty, lub słabości?

Czyż pan sądzisz, iż Mickiewiczowska Grażyna, lub Dorota Goethego tracą znamiona kobiety, gdy pierwsza z nich staje na miejscu jej mężowi właściciel, by swą śmiercią wolność współziomków okupić — podczas gdy druga za miecz również porywa, by w krytycznej chwili siebie i towarzyszy swych bronić do upadłego? Czy hiszpańska dziewczyna, zapalająca lont armaty na murach Saragosi, Czarnogórka, podająca swym mężom i braciom kamienie ku obronie przed najezdcą swej ziemi, odartą jest w oczach waszych z uroku, który aureolą czoła kobiety zdobić powinien?

Ktożby śmiało twierdzić, iż powyższe postacie rozminą się z powołaniem swoim, gdy jako żony i matki opieką domowe otoczą ogniska?

Zapewne nikt nawet chłodno rozumujący — pomijając już entuzjastów i poetów!

Jakże to często się zdarza, że towarzystwo, z mężczyzną i kobietą złożone, pozwala sobie złośliwej krytyki nieobecnych osób — panowie niemają także posiadają w tem wprawę, wiesz pan cośkolwiek o tem — a nikomu nie przejdzie przez myśl nawet, aby kobieta, choćby nią młoda była panienka, traciła wdzięk swój, jeśli jej dłoń drobna ciężki kamyk na nieobecną rzuci ofiarę. Lecz niechże ona pozwoli sobie wyłączyć się z ogólnego chóru, obronić, zasłonić, wytłomaczyć, usprawiedliwić spotwarzoną, a niemogącą osobiście zniewag odeprzeć istotę — jakże ona w śmiałości swej traci prawdziwą kobiecość! . . .

Po większej części przyczyną wojen międzynarodowych bywało przekraczanie ustanowionych granic. lecz dotychczas nie znalazł się ani jeden strategik, lub prawodawca zdolny zakreślić granice, których kobiecie przekraczać nie wolno. Stanowczo nie da się powiedzieć: „to wypada uczynić — a tego uczynić nie można!“ Kobiecie zatem na straży poszanowanie osobistej godności i takt stać powinny; ten ostatni bywa wrodzonym, a domowe wychowanie i obcowanie z ludźmi rozwija go dodatnio. On ją uczy, jak w danej chwili postąpić powinna, czy zastosowania czynu do okoliczności, bo i pod tym względem świat konwenansów nie stanowczego orzec nie zdoła. To, co w pewnych okolicznościach jest dzisiaj uległością, jutro nieprzebaczalną stać się może słabością; co dzisiaj jest zachowaniem prawideł konwenansowych, w innych warunkach przedstawia się jedynie, jako kaprys bezpodstawny; co dzisiaj uważamy za młodzieńczą wesołość, jutro być może potępienia godną lekkomyślnością.

Naturalnie, iż zadowolili każdego postępowaniem z taktem i układem swym nikt dotychczas nie był jeszcze zdolnym. Ludzie, nieufający sobie, niechże się nadal udają do pomocy książek, specjalnie temuż przedmiotowi poświęconym — co do mnie — nie uczynię tego.

Ciekawy czytelnik, lub czytelniczka znajdą w nich często wyrazy: *wypada, można, nie uchodzi* — lecz nigdy książka ta nie powie im o obowiązku moralnym, który w pewnych chwilach jest powinnością kobiety, i nie zakreśli jej granic, których w niespodzianych życia okolicznościach nie wolno jej przekroczyć, aby nie stanąć w rozterce ze sobą samą — z sumieniem — lub sercem. Rozsądek, delikatność, proste ugrzecznienie, szacunek dla siebie samej najlepszymi będą jej mistrzami na drodze tej, której granice stanowi nieraz mur tak cienki, jak

nitka jedwabiu, a przy którym kobieta z taktem zatrzymać się zdoła, nie przekraczając właściwych granic i nie zatracając tem samym piętna kobiecością zwanego.

Jeśli Pan pod tym względem nie zgadzasz się z mem zdaniem, zechciej mi łaskawie swe własne otwarcie wypowiedzieć, a może rezultatem polemiki naszej będzie, iż ostatecznie właściwe znaczenie prawdziwej kobiecości odgadnąę wspólnie zdołamy siłami.

H. N.

KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.”

Ze wsi, w październiku.

Mieszkańcom wsi nie wiodło się tego lata z niefortunnymi zmianami powietrza, które częstokroć psoty i figle platało agronomom, a i obecnie pomyślniej się u nas nie dzieje; nawet ono z radością zwykle witane „babie lato“ nas zawodzi i nie rozwiesza srebrnych pajęczyn w przestrzni. Październikowe słońce na chwilę zaledwie ogrzeje ziemię zwodniczemi promieniami, wokoło słychać tęschny szum jesiennych podmuchów i szelest spadających zeschniętych, żółkłych liści. Niewesoła więc dla nas nastąpiła pora, a i tę przyjdzie nam wkrótce pożegnać, jak się nieraz żegna ulatujące marzenia i zachwyty — aby się w zamian zagrzebać na długie zimowe miesiące w ciasnych i pośpnych murach mieszkania. Oj! nieraz nam wtedy tęschno do minionych cudnych, wiosennych poranków i letnich wieczorów, nieraz chciałoby się podumać przy rechtaniu żab, przy tej miłej melodii, witającej odmładzającą się naturę i zapytać samych siebie, czemuż ten gwar, choć monotony, tak miły dla ucha?... Może w duszy człowieka jest jakaś struna nieznana, co gra zgodnym akordem ze zmianami natury; smutkiem żegna uchodzące lato, a weselem brzmi na wiosnę! I jakże się nie smucić zasklepionym w murach?... Mnie się zdaje, że pod jasnym nieba błękitem jest się niejako bliżej Boga, że Go tam lepiej kochać można, a ludziom łatwiej wyrządzone złe przebaczać, niż w dusznej atmosferze salonowej, kędy każde lepsze, wyższe, serdeczne, szczerze uczucie bywa niejako przytłumione, lub z obawy całym ukryte. A komu, lub czemu tę duszną, salonową atmosferę przypisać? — Oto tej manii krytykowania, która wkradła się do towarzyskich naszych zebrań, opanowała umysły, stała się tłem rozmów i rzeczywiście uczyniła atmosferę naszych salonów duszną, ciężką, wstrętną nawet, bo do rozczarowań wiodącą, dla serc młodych, wrażliwych i gorąco bijących. W obecnym czasie rozgłoszonych wynalazków Edissona, ułatwiających wszelkiego rodzaju komunikacye, przyznać musimy, że i nasz język przybrał nieobjęte, bezgraniczne rozmiary, uczynił postęp w najgorszym kierunku. Mową, tym największym darem Boga, wyróżniającym nas z szeregu innych stworzeń, włada i kieruje przeważnie bujna nasza wyobraźnia i bezwzględna krytyka. Z ust padają nieraz słowa bezlitosne, wydające straszny wyrok o całym życiu, usposobieniu, charakterze, uczynkach i t. d. bliźnich naszych, nie oszczędzając niekiedy i naszych najbliższych, bez uwzględnienia nawet nieznanych nam okoliczności. I gdzież tu miłość bliźniego, gdzie pamięć choćby przelotna o tem, że kiedyś z każdego słowa zdawać będziemy najwyższemu Sędziemu rachunek?... Stanowczej, niezachwianej, samodzielnej opinii i sądu sprawiedliwego o ludziach i sprawach tak u jednostek, jako i w kółkach towarzyskich, w całym nieomal społeczeństwie dopatrzeć się trudno, za to krytyki surowej, pochłaniającej wszystko i wszystkich, nam nie brak — przeciwnie — tak pełno jej wszędzie, że o swobodny kącik niełatwo i dla tego coraz duszniej i ciasniej w naszych niegdys gościnnych, staropol-

skich domach! I pod tym względem my przede wszystkim, kobiety, strażniczki domu polskiego, powinniśmy się postarać o pewne reformy siłą dobrej woli. Nie chodzi tutaj o zupełne wykluczenie krytyki i sądów z rozmów i dyskusyi salonowych, gdyż każda istota myśląca powinna mieć swoje zdanie i odwagę wypowiedzenia go, ale chodzi o panowanie nad wrażliwością i drażliwością swoją chwilową, nad nieraz zbyt bujną wyobraźnią; chodzi o gruntowne zbadanie swojego zdania o ludziach, sprawach i rzeczach, aby w wypowiedaniu sądu nie uleżał kaprysom fantastycznego usposobienia, nieuzasadnionej częstokroć niechęci do osób, wrodzonej złośliwości i tej manii bezmyślnego mówienia i sądzenia wszystkich i wszystkiego.

Swoję dzisiejszą na niewesoły temat pogadankę pragnę zakończyć poleceniem Łaskawym Czytelniczkom „Domu polskiego“ bardzo zajmującej powieści p. t. „Demoiselle Micia.“ która pod koniec roku zeszłego wyszła w „Revue des deux mondes.“ Wiele bez wątpienia przyjemności doznacie, Pannie, czytając ją, gdyż całość umiejętnie, zajmująco i zwięźle napisana, doskonale charakteryzuje ludzi, stosunki i obyczaje galicyjskie. Dodajemy, że powieść ta została starannie przetłumaczona na język polski przez jedną z wielkopolskich siostrzyc naszych i zamieszczona w „Gazecie toruńskiej,“ nietrudno zatem będzie z nią się zapoznać.

Wielkopolanka.

PRZYCZYNY

niedoli klas roboczych.

Według poglądów najznakomitszych ekonomistów i myślicieli

opracował

IZYDOR POECHE.

(Dokończenie.)

Mówią zwyczajnie i bez przekonania się, że zdrowie, siła i wesołość są dziedzictwem ubogich.

Tymczasem trudno nam to sprawdzić pośród ludności chorowitej, znędzniałej i pożałowania godnej z braku... pieniędzy. Tylko przez obfite i zdrowe pożywienie, przez rozsądną gimnastykę, światłe starania, przez pewność zabezpieczonej przyszłości bywają ludzie zdrowymi, silnymi i wesołymi. A to wszystko drogo kosztuje. Dziewięć dziesiątych ludzi gubi się z braku pieniędzy.

Więc potrzebna nam ludziom ciągła praca i oszczędność, których gorącym rzeźnikiem był Staszyc! Oświata, ten niezbędny chleb umysłowy, kosztuje przynajmniej równie drogo, co pożywienie dla ciała. Dla czego szanujemy pamięć tego, który, zrodzony w ubóstwie pozostawia wielki, uczciwą pracą nabyty majątek? Ponieważ przez niego utworzony kapitał stanowi prawdziwe powiększenie publicznego bogactwa.

Jeżeli kobiety klas roboczych są pracowite i oszczędne, ich mężowie i dzieci doznawać będą może ubóstwa, ale nie... nędzy! Będą więc mniej powstawali z oburzeniem na społeczeństwo, mniej będą skłonni do rozwiązłości, jakiej się nieszczęśliwy mąż oddaje, aby na chwilę zapomnieć o swej nędzy, któraby go inaczej mogła doprowadzić do rozpacz.

Doświadczenie uczy, że ci, którzy najmniej posiadają i zdają się nie mieć nic do stracenia, są zwykle najmniej oględniejszymi i najskłonniejszymi do używania dziś bez względu na jutro.

Po wsiach żyją całe rodziny przez zimę jedynie z przychodu zebranych dzieci. W miastach nieraz całą płacę robotników pochłaniają — karczmcy! To, co by starczyło na ich utrzymanie przez cały tydzień, trwonią oni w kilku godzinach.

„Nierząd — mówi Adam Smith — jest zawsze zgubnym dla ludu.“

„Jeden tydzień lekkomyślności i marnotrawstwa wystarcza często do zgubienia na zawsze biednego robotnika, popychając go w rozpacz do spełnienia największych występków, a nawet zbrodni.“ Dzieje naszego sądownictwa potwierdzają nieomal codziennie tę smutną prawdę, a sędziowie dobrze o tem wiedzą, ile np. próżniactwo poniedziałkowe z pijatyką (tak zwane „blauMontagi“) wpływają na statystykę występków, gwałtów i wykroczeń ludu. Niewstrzeźliwość jest najsilniejszą z przyczyn nędzy klas roboczych, opilstwo pochłania nader często ich zarobek, poniża ich obyczaj, niweczy zdrowie. Ich rodziny żyją w niedostatku i odmawiają sobie najpotrzebniejszych rzeczy w celu dogodzenia temu „niezbędnemu“, a zawsze zgubnemu nałogowi.

To nieszczęsne nawyknięcie gnieździ się osobliwie w pobliżu fabryk i wielkich przemysłowych zakładów.

Dalszą przyczyną smutnego losu klas pracujących są nierozsądne i nierozważne związki małżeńskie, tak częste pośród tej warstwy społeczeństwa. Kiedy dwie osoby, z których żadna nie ma z czego żyć, złożą swą biedę do spółki, czegoż się będzie można spodziewać, jeśli nie zwiększenia ubóstwa?... a ich potomstwo czeka niedostatek i nędza. Toż gorliwy obrońca Irlandyi Swifl do przyczyn istnienia olbrzymiej liczby żebraków w tym kraju zalicza oprócz wrodzonego lenistwa także — „przedwczesne małżeństwa, zawierane bez żadnego sposobu do życia.“

Moethos przedstawia bardzo trafnie nierozsądek człowieka, który się żeni, nie posiadając żadnych środków wyżywienia rodziny i który, narażając się dobrowolnie na nędzę, zle przypisuje całemu światu, nawet opatrności, zamiast się gniewać przede wszystkim na siebie samego! Toż mówi on: „Dobry byt klas niższych nie zależy wyłącznie od wyżywienia, lub zaopatrzenia koniecznych potrzeb. Ich los nie będzie tak długo zupełnie zaspokajającym, jak długo one nie będą nżywały pewnej zamożności.“ Pewien znany kapłan, stojący na czele ludnej parafii, uważał za swój największy obowiązek odwożenie ubogich robotników i służących od nierozsądnych małżeństw. A że zwykle jego rad nie słuchano, musiał z boleścią serca słuchać skarg i żalów tych biednych stada i patrzeć na nędzę, której nie zawsze mógł zaradzić.

Dotychczas klasy robocze były obciążone wyłącznie pracą ręczną. Nie myślimy ich odwracać od tej użytecznej pracy, ale pragniemy, jeśli kiedy, to dziś, aby światło rozumu i moralne poczucie przeniknęły wreszcie tę bezwładną masę, która stanowi sam rdzeń społeczeństwa, a o które się ogół tegoż społeczeństwa nazbyt długo nie troszczył.

Kobieta w klasach roboczych ma więcej wolnego czasu, niż mężczyzna; przynajmniej jej prace nie są tak przykre, a wieczorem nie ma równej potrzeby spoczynku. Jeśli otrzymała naukę, jako podniętą do życia, to zwolna pocznie ją miłować dla niej samej, jako źródło przyjemnej w rodzinie rozrywki, która w ten sposób może posłużyć do silniejszego zespolenia jej węzłów.

Jeżeli wreszcie w kobietach tej warstwy społeczeństwa uczucie pobożności wykształci i utrwali wychowanie, natenczas zdołają one stać się w towarzystwie siłą, miarkującą i hamującą zle namiętności, podające mnóstwo ludzi w powiewkę i w pogardę świata.

Ibrang - Hoihsthoht.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Skreślił W. M.)

(Ciąg dalszy.)

IX.

Dzień 16 lutego r. 1882 był dniem pięknym, pogodnym, słonecznym — a nawet niezbyt chłodnym, jak na tę porę. Natura siliła się widocznie na gwałtowny kontrast po owej zakazanej śnieżystej nocy.

Około południa wuj Edward budzić się poczynił z półsnu letargicznego, w który zapadł po przebyciu wrażeń tak różnorodnych, doznanych na sali balowej i w sieni. Nagle „coś“ zapukało do drzwi jego pokoju. Edward zakatarzonym głosem zawołał: „entrez“, a owo „coś“ pukające ukazało się niebawem na scenie.

Był to homunculus dość niski, krępy, pękaty, łysy jak kolano, mimo, że dopiero trzydziestą drugą liczył wiosnę. Homunculus rzucił się na kanapę i rozpaczliwie szukać począł czegoś po kieszeniach. Wreszcie rzekł po kwadransie daremniego szukania:

„Dzień dobry ci, Edwardzie.“

Wujaszek odparł automatycznie, nie ruszając się z łóżka:

„Dzień dobry.“

Nastąpiła chwila milczenia — a homunculus, sapiąc na nowo, przewracał wszelkie kieszenie. Musiał on dociec czegoś niezwykłego, bo zawołał:

„Aaaaa!...“

Nareszcie znalazł i krzyknął tryumfalnie:

„Mam już!“

Teraz zszedł z kanapy, a przybliżywszy się tuż do łóża boleści, na którem jęczała cierpiąca dusza wujaszka, przewracał karteczkę, sylabizując z niej urywane poszczególne jakiegoś wyrazy. Praca ta nie wiodła się jednakże, bo homunculus zmęczył się przy niej widocznie i z wielce zakłopotaną miną zapytał Edwarda:

„Czy nie mógłbyś mi tego bileciku przetłumaczyć na francuzkie?“

Edward rzucił okiem na kartkę.

„Mógłbym wreszcie przetłumaczyć i na francuzkie — ale sądzę, że nierównie prostszą rzeczą będzie, jeżeli ci go wyłożę po polsku.“

Homunculus zaczerwienił się po uszy — a raczej, jak pisywała jedna z nicodżałowanej pamięci pań naszych i autorek, „zróżowił“. Co prawda, to może najsluszniej byłoby tu powiedzieć, że „zburaczał“. Ale mniejsza o wyraz.

„Wszak wiesz, że równie dobrze rozumiem po francuzku, jak po polsku. Byłem półtora roku we Francyi. Po angielsku także...“

„Wiem, wiem. Ale sądzę, że równie dobrze rozumiesz po polsku, jak po francuzku. Byłeś trzydzieści i pół roku w Polsce. Co zaś do angielskiego...“

„Byłem sześć tygodni w Londynie...“

„Tak — ale nie umiesz sobie jednak przetłumaczyć tych kilku wyrazów. A przecież czytam tu tylko owe najoklepańsze wyrazy, na których się dzieci uczą alfabetu i sylabizowania.“

„Co mówisz...“

„Ano, tak. Osądźże sam. Stoi tu, co następuje: Drogi, kochany Henryku! Pytasz mnie, czy cię kocham? Czy Twoja Ludwika Cię kocha? Nie wdzięczny, i Ty pytasz o to? Zapytaj gwiazdek na niebie, wody w strumyku...“

Tutaj naraz wujaszek ziewnął rozpaczliwie, wypuścił z rąk karteczkę, jęknął i usnął. Była to pierwsza chwila

la snu zdrowego, głębokiego, pokrzepiającego od dawnych bardzo czasów! Zawdzięczał je miłosnym wylewom kochającej Henryka Ludwiki.

Niestety! sen ten nie miał trwać długo. Homunculus głosem wołaniem zbudził Edwarda.

„Edwardzie! co ty robisz — nie śpijże — przetłumacz mi ten bilet do końca.“

„Okrutniku, jak możesz odbierać mi tę jedyną chwilę normalnego spoczynku! Ha! nie mogę się gniewać wreszcie — wszakże chwilę tę zawdzięczam twej Ludwice. Co się zaś tyczy reszty bileciku — to każe ci ona zapytać o to, czy cię kocha rzeczywiście, następujące żywioły, rośliny i zwierzęta: fioleczki, księżyc, słońce, gołąbków, psa Syriusza, owcę i powój. No — czy jesteś teraz zadowolony?“

„Nie uwierzysz, jak ta kobieta szaleje za mną. Rady sobie nie wie. Aż mi żal biedaczki! Nie mogę ci nic o niej powiedzieć“

„Nie jestem bynajmniej ciekawy.“

„Muszę zachować absolutną dyskrecją — sam to zrozumiesz. Tyle ci tylko zdradzę, że jest ona Angielką, żoną bardzo bogatego lorda . . .“

„Może generała? . . .“

„Nie, lorda. Słowo ci na to daję. Nie widziałem nigdy jeszcze piękniejszej kobiety! Blondyna — a jakie oko! Lat ma trzydziści i bawi tu chwilowo tylko u krewnych. Jeżeli mi dasz słowo honoru na to, że nie nikomu nie powiesz . . .“

„Ależ nie pytam cię o nic.“

„Przysięgnij mi, że dochowasz absolutnej dyskrecyi, to ci wyjawię . . .“

„Nie chcę wiedzieć niczego.“

„A zresztą, opowiem ci to wszystko później — przy sposobności. Daję ci słowo, ta kobieta zupełnie dla mnie sfiksowała. Codziennie pisze do mnie trzy, lub cztery takie bilety. Szkoda tylko, że nie tak dobrze rozumiem po angielsku, jak po francuzku . . .“

„To mi je przynios do tłumaczenia o dziesiątej wieczorem — kiedy będę chciał spocząć.“

„Dobrze, będę ci je przynosił — tylko musisz mi dać słowo na absolutną dyskrecją. Ale, prawda — czy wiesz, że tu wczoraj przyjechała pyszna menażerya?“

„Pierwsze słyszę. Coż to za menażerya?“

„Znakomita, ogromna, ogrzewana. Cała buda zbudowana z drzewa — są tam wszystkie najdziksze zwierzęta, jakie widziałem w Paryżu i Londynie. Z murzynką rozmawiałem po francuzku. A jak zobaczysz córkę właściciela menażeryi, pannę Angelikę — zwarynujesz za nią! Daję ci słowo. Zupełnie w twoim guście.“

„Zkądżeż znasz mój gust?“

„Wszakżeż lubisz wspaniałe figury?“

„Lubię wspaniałe figury.“

„No, to idź i zobacz. Ale pamiętaj o dyskrecyi co do owej Angielki! . . .“

I homunculus zawarł drzwi za sobą.

Po chwili znowu „coś“ do drzwi tych zastukało.

Tym razem był to poczciwy Apis.

„Edwardzie — ty śpisz jeszcze — a ja już od ósmej jestem na nogach. Nie mogłem spać z rozmarzenia i rozgorączkowania!“

„Coż znowu?“

„Czy wiesz — ona kocha się we mnie . . .“

„Kto taki?“

„Ona — ona — Assyryanka z wczorajszej maskarady.“

Wuj Edward zadrgnął na chwilę — a potem rzekł stłumionym głosem:

„Ha! może się i kocha. Niechajże się i kocha. Jakżeż to tam do tego przyszło?“

„Rozmawialiśmy ze sobą przez całe dwie godziny. Co to za kobieta! A jakie oczy! Czarne, jak dwa węgle . . .“

„Żleś się przypatrzył. Niebieskie.“

„Czy tak? No, być może — pod maską trudno dobrze rozpoznać — a przytem i gazowe światło zmienia kolory.“

„Tak, tak, gaz złym jest kolorystą“ wybąknął machinalnie, idyotycznie wujaszek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne i rozmaiteści.

Nakładem „Towarzystwa imienia Stanisława Staszycza“ we Lwowie wyszło świeżo kilka dziełek, z których jedno pod tytułem: „Moskwa wobec unii i Polski“ wzięło sobie za zadanie skreślenie historii unickiego kościoła z okazji święcenia przez Moskwę pięćdziesięcioletniego jubileuszu rzekomo dobrowolnego nawrócenia unitów na łono prawosławnej cerkwi.

Niewymieniony autor książki, czerpiąc materiały do powyższej pracy z polskich, ruskich, rosyjskich i niemieckich źródeł i dokumentów, odnoszących do międzyreligijnego stosunku Polski, Moskwy i Rusi, dał nam w szczupłych, lecz wybitnych zarysach straszliwy obraz wiekowych krzywd, spełnianych na ruskim narodzie. Początek tego prześladowania rozpoczął się z wojną o panowanie w Polsce między stronnikami Leszczyńskiego a Augusta II, gdy ten ostatni powołał na pomoc cara Piotra Wielkiego.

Podobno biskupi moskiewscy tylko pod tym warunkiem udzielili udającemu się w kraje Rzeczypospolitej samowładcy kościelnego błogosławieństwa, iż zobowiąże się wytepić unitów w razie, gdyby ci opierali się połączeniu z prawosławnym kościołem.

Car Piotr W., pomimo europejskiej oglądy i dążności do zreformowania Moskwy, posiadał dziką, nieposkromioną naturę prawdziwego Azyaty i zaledwie przekroczył granice Polski, natura ta w całej wystąpiła grozie.

Nietylko w Witebsku wszelkie pamiątki po arcybiskupie Jozafacie Koncewiczu, lecz w Połocku pomordował wielu zakonników, Bazylianów, pomiędzy nimi przeora Kizikowskiego, a złupiony klasztor obrócić kazał na magazyn wojskowy.

Prócz tego ztupiono i zburzono wiele cerkwi i klasztorów na Litwie i Białej Rusi. Niemniej okrutnie, jak z Bazylianami, obszedł się car z biskupami unickimi, z których metropolita Załęski zmuszony był opuścić granice Polski, a metropolita Zabokrzycki zmarł w straszliwym więzieniu w Moskwie. Nawet po usąpieniu cara z granic Rzeczypospolitej nie zostali zwolnieni unicy z pod jego opieki; rozłożył on całą sieć agentów w Polsce, których głównym zadaniem było podburzanie ludności przeciw władzy i kościołowi katolickiemu.

W interesie prawdy z przykrością zmuszeni jesteśmy zaznaczyć na tem miejscu, iż kościół katolicki widział zbyt chętnie przechodzących na jego stronę unitów, czem przestraszona wielka część Rusinów — w obawie utracenia swej narodowości — przechylać zaczęła swe sympatye ku Moskwie. Daremnie zwracał się w połowie przeszłego wieku gorliwy obrońca unii, metropolita Jan Smogorzewski, do papieża i do króla, aby nie wymagano odstępstwa od zjednoczonego kościoła na korzyść katolicyzmu — daremnie odwoływał się na smutne skutki tego odstępstwa, ponieważ podług umowy, zawartej między Moskwą a Władysławem IV, majątki cerkwi unickich, przechodzących na rzymski obrządek, oddawano Moskwie. Jest to jeden z najsmutniejszych w dziejach unii faktów, a przyczynił się on do ustalenia wpływu Moskwy w Polsce, który to wpływ niezadługo w całej wystąpił sile.

Z okazji objęcia rządów w Moskwie przez Katarzynę II. udał się poddany Rzeczypospolitej, władyka Jerzy Kuniski, do Petersburga, oddając jej w opiekę naród małoruski z prośbą o pomoc w tępieniu unii na rzecz prawosławia.

Aby osiągnąć swój cel, rozpoczął rząd rosyjski podburzanie Małorusinów przeciw Polakom, stawiając im przed oczy rzekome krzywdy, dokonywane na nich przez Polskę. Smutne, pełne okropności następstwa tych podburzeń ujawniły się w całej grozie podczas rzezi humańskiej.

Ruch ten, który krwią zbroczył całą Ukrainę, nie posiadał żadnej społecznej podstawy, nie był zbrodnią spełnioną w imię wolności. Moskwa, dając pomoc hajdamakom, liczyła na przejście Rusi, jako narodu i kościoła, na swe łono, lecz tutaj rachuby zawiodły ją srodze.

Naród ruski chciał posiadać wolność religijną i wolność obrządku, a gdy Katarzyna z ostatnim Polski rozbiorem w tym samym jeszcze roku pozносиła w zabranych przez siebie ziemiach wszystkie biskupstwa unickie z wyjątkiem płockiego, a unitów przemocą zmuszała do schizmy, napotkała silny opór powolnego sobie dotychczas narodu.

Śmierć Katarzyny uniemożliwiła chwycenie się zbyt energicznych środków, a pod łagodnym panowaniem Pawła i Aleksandra I. położenie unitów było dość znośne, dopóki nie zasiadł na tronie Moskwy osławiony okrucieństwami Mikołaj. Przejęty na wskroś państwową ideą Katarzyny, z drugiej strony zmuszony do liczenia się z poglądami liberalnej Europy; chwycił się skrytych, podstępnych środków, zakładając wileńskie seminarium, pokierowane w ten sposób, iż wychowało takich zaprzedańców rządowych, jak: Siemiaszko, Łużyński, Zubko i Hołubowicz.

Zbyt dobrze znane są czynności tych ruskich siepaczy i znęcanie się ich nad unitami, byśmy je szczegółowo mieli rozbiierać. Ponad wszystkie opisy wymowniejszym jest pamiętnik ksieni mińskich Bazylianek, Makryny Mieczysławskiej.

Odstępcy kapłani unicy z Siemiaszką na czele zrobili akt, którym poddali unicki kościół pod zarząd synodu prawosławnego.

Wiernych obrządkowi unickiemu kapłanów więziono, wywożono na Sybir, a wielu z nich zmarło w skutek dotychczas okrucieństw.

Lud wierny ojców swych wierze strasznie prześladowano, do broniących nietykalności swych cerkwi tłumów strzelano, a jednostki konały pod moskiewską nahajką. Lecz nie zdołano przełamać oporu. Do bohaterstwa wznosili się starcy, kobiety i dzieci nawet, a martyrologia unickiego ludu zgrozą przejmując czytelnika w mowie będącej książką.

Akt samowolnego poddania unickiej cerkwi przez zaprzedańców rządowych zaszedł dnia 12 marca, 1839 r., a dziś obchodzi Moskwa jubileusz „dobrowolnego” połączenia się jej z prawosławnym kościołem.

Historia ostatnich lat ciemnienia i okrutnego państwa nad unitami zbyt dobrze jest znana, byśmy ją mieli odświeżać w pamięci czytelników. Całe tomy możnaby pisać krwią i łzami biednego ludu, a nie ma dnia prawie, coby nie był napiętnowany gwałtem, mordem, wygnaniem.

Obeznanym z historią Moskwy i unii hipokryzja pierwszej w najwyższym oburza stopniu, a obchodzony przez nią jubileusz hańbiącym piętrem na rosyjskim społeczeństwie narodzie.

Autor dziełka: „Moskwa w obec unii i Polski“ nie-mało zadał sobie trudu przy gromadzeniu materiału do swej pracy, której treść podaliśmy w zarysie, życząc zarazem rozpowszechnienia jej w najszerszym kole czytelników.

Panna Natalia Wrońska, Warszawianka, która podróżowała z ojcem swym po Ameryce południowej, po Indyach i Chinach, ma zamiar wygłosić w Warszawie kilka odczytów z zakresu swych podróży.

Panna Karolina Szmurłówna, uczennica Alchimowicza, otworzyła w Warszawie kurs malarstwa dla kobiet.

W kongresie dentyków, odbytym w Paryżu, brała udział panna Bulewska z Wilna.

Uwertura „Prometeusz“ Eschylosa, kompozytorka Karola Goldmarka, zostanie wykonaną w przyszłym miesiącu na jednym z koncertów filharmonijnych w Berlinie pod dyrekcją Hansa Bülowa.

Skrzypek Sarassate i fortepianistka, p. Berta Marx, udają się w podróż artystyczną do Ameryki. *Impressario* zapewnił im 300,000 fr. za półroczcie.

Promyki.

(Zebrała B. K.)

Jest w duszy ludzkiej jakaś niewypowiedziana siła, łącząca ją z zaświatem. Jakkolwiek rozum burzy się i przeczy wszystkiemu, czego zbadać i zgłębić nie może, milknie niekiedy mimowoli, a człowiek rad nie rad idzie za popędem tego wrodzonego uczucia, które mu szepta, iż tam gdzieś — blisko może — jest świat inny, świat zaludniony tymi, co przed nim dni swoje skończyli i co mu drogimi byli na ziemi, świat, w którym znika wszelkich ziemskich rzeczy zawilość, a prawda i sprawiedliwość, oczyszczona z namietności, pychy i brudów ziemskich, świeci światłem wiekuistym, jednym i niezmiennym.

O! gdyby było w mocy ludzkiej przestać myśleć o tem, o czem pragnęlibyśmy nie myśleć!... Coż uczynić, aby się pozbyć myśli i pamięci?...

Czujemy się niekiedy tak pogwałceni, tak słabi, biedni, zrozpaczeni i opuszczeni, że pragniemy współczucia choćby od..... kamienia!

Nieraz pod pokostem czułości i sentymentalizmu swobodnie rozwija się gruba, pospolita zmysłowość, płytkość duszy a oschłość serca.

Wierność przyjaźni w nieszczęściu jest jedynym dowodem prawdziwej przyjaźni.

HUMORYSTYCZNE.

Osobliwy rachunek. Sędzia: — Heż pan sobie liczysz za te buty, które ci skradziono.

Poszkodowany: — Zapłaciłem za nowe 12 m., ale ponieważ dawałem je dwa razy do podzelowania, kosztują mnie dotychczas 20 m.

Pociecha. — Spiesz się, przyjacielu, mówi pan młody do doróżkarza, bo przez to objeżdżanie z powodu naprawy braku gotowym spóźnić się na swój ślub.

— Ale za to — pociesza doróżkarz — ma pan jeszcze czas do namysłu.

OD REDAKCYI.

Na liczne zapytania odpowiadamy uprzejmie z tego miejsca, że tak pojedyncze kwartalniki bieżącego rocznika „Domu polskiego“, jako i cały rocznik przeszły z 1888 r. można nabywać za połowę ceny, a na wyraźne życzenie jeszcze taniej. Szanownych Czytelników i Przyjaciół pisma naszego serdecznie prosimy o rozprzestrzenianie i polecenie go w kole znajomych.

TREŚĆ: O wychowaniu. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Jesień. (Wiersz.) Przez Marysę Sokolnicką. — Rożeńka. Obrazek z przeszłości przez W. Dr. Antoniemu J. w dowód czci i poważania drobnotkę tę poświęca autor. (Dokończenie nastąpi.) — Prawdziwa kobiecość. Przez H. N. (Dokończenie.) — Korespondencya „Domu polskiego.“ Ze wsi. Napisała Wielkopolańska. — Przyczyny niedoli klas roboczych. Według poglądów najznakomitszych ekonomistów i myślicieli, opracował Izidor Poche. (Dokończenie.) — Ibrang - Hojsthoj. Z kartek szukającego ideałów. Skreślił W. M. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Wiadomości literackie, naukowe, społeczne i rozmaite. — Promyki. (Zebrała B. K.) — Humorystyczne. — Od redakcyi.